

Z PKF przez Polskę i świat – Awans

17 sierpnia 2019

Kronikę różniły od telewizji Szczepańskiego nie tylko sprawy warsztatowe, ale przede wszystkim sposób ukazywania Polski.

Pierwszego lutego 1973 roku, dyrektor Wytwórni Filmów Dokumentalnych – wydawca Kroniki, podpisał ze mną umowę, „powierając” mi stanowisko redaktora naczelnego Polskiej Kroniki Filmowej. Dotychczasowy szef PKF, Michał Gardowski, przeszedł do pracy w Komitecie do Spraw Radia i Telewizji na stanowisko wiceprezesa, czyli na zastępcę Macieja Szczepańskiego, który w październiku 1972 roku objął kierownictwo Radiokomitetu i ściągał na Woronicza zdolnych ludzi.

Przepracowałem z Michałem Gardowskim trzy i pół roku, wspominam ten czas, jako bardzo dobry w moim życiu, kilka razy naraziłem szefa na kłopoty, wynagradzałem mu to lojalnością i ciężką pracą. Prawda, Michał kilka razy postąpił wobec mnie niezbyt elegancko, ale były to drobiazgi bez większego znaczenia. O dwóch z nich opowiem, bo są one charakterystyczne dla czasów, które tu opisuję.

Podczas nieobecności Michała w redakcji, otrzymałem polecenie z KC PZPR szybkiej realizacji filmu pt. „Pomożemy.” W sprawach merytorycznych miałem kontaktować się z Józefem Bareckim, redaktorem naczelnym „Trybuny Ludu”, a do napisania tekstu wyznaczono Jerzego Ambroziewicza. Film powstawał z materiałów archiwalnych PKF i był przeznaczony dla ambasad i polskich placówek kulturalnych za granicą. Można nawet powiedzieć, że było to monotematyczne wydanie PKF, tyle, że bez czołówki i zredukowane na taśmę 16 milimetrów, bo polskie placówki dysponowały tylko takimi projektorami. Redukcję taśmy z 35 milimetrów miała wykonać Wytwórnia Filmowa „Czołówka”. Montaż

filmu „Pomożemy” powierzyłem pani Agnieszce Bojanowskiej, cieszącej się opinią doskonałej i szybkiej montażystki.

Kiedy wydanie zostało nagrane, a „Czołówka” kończyła redukcję taśmy, Jerzy Łukaszewicz, sekretarz KC PZPR, przyjechał na Chełmską obejrzeć film o poparciu dla Edwarda Gierka przez polskie społeczeństwo, a przede wszystkim „przez klasę robotniczą”. Michał Gardowski wrócił właśnie z zagranicy, zaprowadziliśmy więc Łukaszewicza na salę D, gdzie odbywała się projekcja. Po zakończeniu pokazu sekretarz oznajmił, że zamierza wprowadzić w filmie pewne zmiany. Mając na myśli terminy i perturbacje z redukcją taśmy na 16 mm, zamiast postąpić jak swego czasu Jarosław Iwaszkiewicz, gdy Markow, przewodniczący literatów radzieckich zapytał go gdzie może zrobić siusiu, odpowiedział: pan może wszędzie; nie powiedziałem: towarzyszu sekretarzu, wam wolno zmienić wszystko tylko poinformowałem go, że żadnych zmian już wprowadzać nie można. Michał dostrzegł chyba zaskoczenie na twarzy Łukaszewicza, bo go natychmiast zaczął przeproszać i tłumaczyć, że braki filmu powstały, dlatego, iż nie było go w redakcji, gdyż musiał służbowo wyjechać. Reakcja Michała zdziwiła Łukaszewicza, chyba jeszcze bardziej niż moja szczerą odpowiedź, bo zakończył rozmowę stwierdzeniem: skoro towarzysz Chrzanowski mówi, że już nie mogę nic zmienić, to niech tak zostanie.

A oto inny przykład. Basia Sidorczuk, moja koleżanka ze studiów, szefowa „Kobiety i Życia”, zastępca członka KC PZPR, z którą bardzo się lubiliśmy, przy okazji jakiegoś spotkania zapytała mnie wprost: „Mirku, co się z tobą dzieje, że tak nagle straciłeś samodzielność?” Nie wiedząc, co Basia ma na myśli, poprosiłem ją o bliższe wyjaśnienia. Wtedy opowiedziała mi o urlopie w Kazimierzu nad Wisłą, który spędzała razem z Gardowskimi. Mój szef, Michał, przed wyjazdem na wczasy poprosił, abym po przyjęciu pierwszej kopii kroniki, dzwonił do niego, „najlepiej w porze obiadu” i informował „czy wszystko w porządku.” Dzwoniłem więc dwa razy w tygodniu i

zapewniałem, że pracujemy normalnie, pozdrowiałem Basię, jego żonę, i życzyłem miłego wypoczynku. Michał po rozmowie telefonicznej wracał do jadalni domu dziennikarza, rozkładał teatralnie ręce i żalił się: nawet na urlopie nie dają mi spokoju. Nie mówił wprost: teraz widzicie, z kim muszę pracować, ale otoczenie tak właśnie odbierało moje telefony.

Do zachowań szefa nie przywiązywałem specjalnej wagi, wychodziłem, bowiem z przekonania, że każdy człowiek ma jakieś słabostki. Drobnostki, śmieszności. Gdy awansowałem, rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie. Zaproponował mi nawet, że dwa razy w miesiącu napisze tekst do kroniki. Propozycję przyjąłem ze zrozumieniem. Nie pamiętam ile komentarzy zdołał spłodzić, bo szybko zrezygnował, wszak wiceprezes Radiokomiteu miał dostatecznie dużo pracy na Woronicza.

Do pierwszych animozji między nami doszło w sierpniu 1973 roku. Michał chciał bowiem reprezentować PKF na kongresie INA (International Newsreel Association – Międzynarodowe Stowarzyszenie Kronik Filmowych), który odbywał się we wrześniu w Meksyku. Nie miałem nic przeciw jego wyjazdowi, pod jednym wszakże warunkiem, że Radiokomitek sfinansuje mu podróż i pobyt na kongresie. Sam, bowiem nie zamierzałem zrezygnować z wyjazdu, który umożliwiał mi poznanie władz INA i redaktorów naczelnych kronik utrzymujących z nami wymianę materiałów filmowych. I chyba swoim zachowaniem naraziłem się byłemu szefowi. Okazał mi swoją niechęć i podkreślił własne znaczenie w czasie, gdy Gdynia przygotowywała się do „Operation Sail” – parady żaglowców z całego świata. Spotkanie największych i najpiękniejszych żaglowców jest imprezą niezwykle widowiskową, stąd do PKF napłynęły z wielu kronik zamówienia na materiały. I wtedy właśnie dowiedziałem się, że wyłączność na filmowanie parady morskiej żaglowców zastrzegła sobie telewizja! A po bliższym zbadaniu sprawy uzyskałem informacje, że autorem pomysłu jest właśnie wiceprezes, Michał Gardowski.

W tamtych czasach w Polsce Ludowej telewizja nie miała

możliwości przyznawania sobie prawa wyłączności, choć prominenci z otoczenia Macieja Szczepańskiego wielokrotnie czynili próby wyeliminowania PKF z różnych imprez. Wybrałem się więc do Michała Gardowskiego, aby zapytać go na podstawie jakiego prawa przyznał sobie wyłączność. Wiceprezes na początku wizyty potraktował mnie jak petenta i dał mi do zrozumienia, że rozmawia ze mną tylko dlatego, że jest człowiekiem dobrze wychowanym. Nie spodziewał się, że mam asa ukrytego w rękawie. „Przykro mi Michale – powiedziałem wstając z fotela – iż będę musiał poinformować „Nowosti Dnia”, które proszą mnie o zdjęcia żaglowców „Kruzenszterna” i „Siedowa,” o twoim stanowisku w tej sprawie” – i wyciągnąłem rękę, by się pożegnać. „Chwileczkę – usłyszałem – to jakieś nieporozumienie”. I Michał wycofał się z wyłączności. Nie zamierzał wszak narażać się „radzieckim”, a nie domyślił się, że ja blefuję. Kronika radziecka nie przysłała żadnego zamówienia! Miała na żaglowcach własnych operatorów.

Nie pamiętam dokładnej daty, jest to w końcu drobiazg bez znaczenia, ale podobnie jak mój były szef postąpił inny prominentny przedstawiciel telewizji. Przed przyjazdem do Polski Leonida Breżniewa na naradzie w Komitecie Centralnym Stanisław Cześnin zażądał, aby nie wpuszczać Polskiej Kroniki Filmowej na płytę lotniska, bo operatorzy PKF tylko przeszkadzają. „Uczyliście się od kroniki, a teraz usiłujecie się jej pozbyć, boicie się konkurencji?”. „Uczyliśmy się od was i dlatego zdarzają się nam błędy” – odparował – dyrektor generalny TVP. „Nie wystarczy uczyć się tylko na błędach, radzę uczyć się także na wyższych uczelniach” – ripostowałem. Zebrani na sali redaktorzy wybuchnęli głośnym śmiechem. Osłupiałem, nie wiedziałem skąd ten wybuch śmiechu, co ja takiego powiedziałem? Po naradzie ktoś mi szepnął: Staszek nie ma wyższego wykształcenia. Nie mogłem uwierzyć. Taki inteligentny i przystojny mężczyzna!

Teraz, po latach otrzymuję często pytania od osób interesujących się Polską Ludową, kiedy usunięto PKF z

telewizji i z jakich powodów? Dokładnej daty nie pamiętam, a przyczyny były z pewnością różne. Najprawdopodobniej od czasu, gdy powierzono Maciejowi Szczepańskiemu funkcję prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, kronika przestała przystawać do wizji propagandy sukcesu, której czołowym, najwybitniejszym twórcą był nie, kto inny, a właśnie Maciej Szczepański.

Kronikę różniły od telewizji Szczepańskiego nie tylko sprawy warsztatowe, ale przede wszystkim sposób ukazywania Polski. To prawda, osiągnięcia Polski Ludowej zajmowały sporo miejsca w wydaniach PKF, wszak one istniały w rzeczywistości, ale nigdy Polska Kronika Filmowa nie przestała pokazywać również niedostatków realnego socjalizmu: kobiet wracających po pracy do domu obwieszonych siatkami, kolejek, złego gospodarowania państwowymi pieniędzmi, bubli, przywar społecznych i nieudolności władz... oczywiście niższych szczebli. Przy wszystkich ułomnościach kroniki nie pouczaliśmy w komentarzach naszych widzów, nie zrezygnowaliśmy z żartu, aluzji i kpiny. Kronika dość zręcznie posługiwała się spektaklami teatralnymi, występami kabaretów, piosenkami. Ten rodzaj „uprawiania propagandy” stanowczo nie mieścił się w kanonie propagandy sukcesu, panoszącej się na ekranie telewizyjnym.

Przy wszystkich ograniczeniach i trudnościach nie utraciliśmy zdrowego rozsądku, co nas uwiarygodniało w oczach widzów i przysparzało sympatii. Można bez przesady powiedzieć, że kronika wypracowała własny styl. Kiedy usiadłem na szefowskim fotelu, podjąłem trzy pierwsze decyzje:

Wystąpiłem do władz administracyjnych o przyznanie kronice pieniędzy na honoraria dla dziennikarzy, którym dotąd nie płacono wierszówek. Zwróciłem się do władz politycznych i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z wnioskiem o zaliczenie PKF do redakcji pierwszej kategorii.

Odwołałem z kolegium redakcji, (jak się później okazało, był to poważny błąd) Jana Grzelaka, pracownika Komitetu

Warszawskiego PZPR, który nie przychodził na zebrania kolegium i na nagrania kroniki, a po pieniądze przysyłał kierowcę.

Polska Kronika Filmowa wymieniała z wieloma kronikami całe wydania, językiem wymiany był angielski, tzn., że polski komentarz tłumaczyliśmy na język angielski. Wyjątek stanowiły „Nowosti Dnia”, którym wysyłaaliśmy komentarze w języku rosyjskim, a oni przysyłałi nam teksty też po rosyjsku. Poprosiłem redaktor Marię Dehn, która kierowała działem zagranicznym, aby ustaliła z redakcją w Moskwie, w jakim języku będzie odbywać się nasza wymiana: angielskim, czy rosyjskim i polskim. Jeśli koledzy rosyjscy będą przysyłać nam teksty „Nowosti Dnia” w języku polskim, my będziemy wysyłać im swoje wydania w języku rosyjskim. Najmniej zadowolony z mojej decyzji był tłumacz, który stracił źródło zarobku. „Nowosti Dnia” przyjęły zmianę bez uwag. Mam nadzieję, że to, co napisałem nie zostanie odczytane w ten sposób, iż usiłowałem zademonstrować swoją niechęć w stosunku do radzieckich kronikarzy. Uznałem jedynie, że umowy zawarte na zasadach ustalonych przez INA obowiązują wszystkie umawiające się strony. Z kolegami z „Nowosti Dnia” współpraca układała mi się dobrze, a z Jurijem Awietikowem łączyły mnie przyjacielskie stosunki, przegadaliśmy nie jeden wieczór w Moskwie przy „Posolskoj”, a w Warszawie przy „Wyborowej.”

W smokingu

Tymczasem zacząłem przygotowania wyjazdu do Meksyku, było to moje pierwsze spotkanie z władzami INA i redaktorami kronik z różnych kontynentów i krajów świata. Nieocenionej pomocy udzielała mi redaktor, Maria Dehn, kierownik działu zagranicznego PKF, która znała prawie wszystkich redaktorów naczelnych, bywała na kongresach, była lubiana i ceniona przez wszystkich uczestników, o czym przekonałem się na kongresie. Z programu kongresu, jaki otrzymaliśmy wynikało, że w dzień będziemy obradować, a wieczory spędzać na balach i przyjęciach. I właśnie te wieczory stały się dla mnie

pierwszym problemem.

W zaproszeniu napisano, że strój wieczorowy jest dobrze widziany, czyli obowiązkowy. Maria opowiedziała mi, że na przyjęcia szefowie kronik zachodnich przychodzą w smokingach, a socjalistycznych – w garniturach, nie zawsze zresztą ciemnych, co miało podkreślać, iż reprezentują świat pracy i mają gdzieś burżuazyjne konwenanse. Odbyłem w tej sprawie kilka narad z najbliższą rodziną i przyjaciółmi. I postanowiłem uszyć sobie na kongres INA w Meksyku smoking! A kiedy już ten przydziewek był gotowy, wyłonił się, jak widmo... nowy problem: nie mogłem kupić do tego burżuazyjnego stroju koszuli. Nawet redaktor Rajmund Ossowski, który mógł w Polsce Ludowej kupić (załatwić) wszystko, rozłożył bezradnie ręce i oświadczył najzwyczajniej w świecie: skoro zamierzasz zatrzymać się w Paryżu, to dam ci kilka adresów i bez kłopotu kupisz, co tylko zechcesz. I wtedy koszulami zajęła się moja nieoceniona żona – Renia. W okolicach Placu Zbawiciela znalazła krawca, który jeszcze w II Rzeczypospolitej szył szlachetnie urodzonym koszule, i zaprowadziła mnie do tej pracowni, gdzie nabyłem potrzebne dodatki do smokingu!

Przedstawiciele europejskich kronik filmowych mieli zebrać się 11 września w Paryżu i stąd „Beoingiem 747”, zwanym też „Jumbo Jetem” – polecieć do Meksyku. Zjawiliśmy się – Maria Dehn, Ryszard Golc i ja – nad Sekwaną dwa dni wcześniej, zamierzałem, bowiem poznać osobiście przedstawicieli władz INA, której siedzibą była stolica Francji. Przyjął nas pan, Marcel Colin-Reval, sekretarz generalny, w sposób dość niekonwencjonalny. „Cieszę się, że wpadliście, powiedział witając się z nami, pomożecie mi kupić samochód”. Posadził nas przy stoliku, rozłożył katalog z pojazdami różnych marek i poprosił o wskazanie modelu, który każdemu z nas podoba się najbardziej. Zgodnie wskazaliśmy błękitnego peugeota, a pan Colin-Reval aż podskoczył z radości. Wybraliśmy, bowiem jego model! „Skoro jesteście tak jednomyślni, to uczcijmy ten fakt kawą i francuskim koniakiem” – zaproponował. „Wstępną rozmowę

o pogodzie mamy już za sobą, to pozwoli pan – tu nasz rozmówca zwrócił się w moją stronę – że zapytam, co kolega sądzi o pani Helenie Lemańskiej?” Nie, byłem przygotowany na takie pytanie. Zgodnie z prawdą, odpowiedziałem, że nie miałem okazji poznać jej osobiście, ale bardzo cenię dorobek pani Lemańskiej i staram się utrzymać model kroniki przez nią stworzony.

Prawdopodobnie, gdybyśmy się spotkali i wymienili swoje poglądy polityczne, wystąpiłyby między nami pewne różnice, ale tego, co Lemańska wniosła do kroniki nikt jej nie odbierze, a już na pewno ja nie mam takich zamiarów. Kilka lat po tej rozmowie dowiedziałem się, że pytanie o Helenę Lemańską, było testem dla osób przyjeżdżających tu z Warszawy. Podczas rozmowy, do gabinetu Colin-Revala wszedł jakiś pan, z którym gospodarz wymienił parę zdań, podpisał podany mu dokument, wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu i wręczył przybyszowi, ten mu się zrewanżował, wręczając inne kluczyki. Pożegnał się i opuścił gabinet. Okazało się, że w ten niezbyt skomplikowany sposób Colin-Reval kupił nowy i pozbył się starego samochodu. Gdy opuszczaliśmy biuro INA, gospodarz przeprosił nas za kłopot związany z odnalezieniem nowego pojazdu, przedstawiciel firmy postawił go na tej ulicy, musimy, więc peugeota odnaleźć. Czuliśmy się usatysfakcjonowani, że jesteśmy pierwszymi pasażerami nowego „wozu” i robimy rundę wokół Paryża, aby sprawdzić jego zalety.

Zamieszkaliśmy w tanim hoteliku, którego właścicielem był sympatyczny i gościnny Chilijczyk. Żegnał nas ze łzami w oczach. To właśnie od niego dowiedzieliśmy się, że zamordowano prezydenta Chile, Salvatore Allende. Na ulice Paryża wyległy tłumy, aby zaprotestować przeciw zamachowi stanu w Chile.

Po wylądowaniu w Meksyku, w czasie odprawy granicznej przekonaliśmy się, że podział świata na dwa obozy trwa tu jeszcze w najlepsze, osoby pochodzące z zachodniej Europy przepuszczono bez kontroli, natomiast nas – ze wschodniej – sprawdzano długo i dość dokładnie. Koledzy z zachodniej części naszego kontynentu denerwowali się i niecierpliwili, nie

szczędząc złośliwych uwag pod adresem władz Stanów Zjednoczonych Meksyku.

13 września 1973 roku, centralną ulicą stolicy Meksyku, na której mieścił się nasz hotel, przeciągnęła potężna manifestacja, protestując przeciw juncie i śmierci prezydenta Chile. Wyszliśmy przed hotel, Ryszard Gołc zaczął filmować pochód, staliśmy na chodniku, obserwując demonstrantów. W pewnej chwili nie wiadomo, dlaczego jeden z protestujących rzucił się na Marię Dehn, na szczęście koledzy z kronik filmowych stojący najbliżej Marii odpędzili napastnika.

Meksykańscy koledzy pobyt i kongres zorganizowali wprost cudownie! Obrady trwały każdego dnia krótko i tylko do pory obiadowej, po południu zwiedzaliśmy wspaniałe zabytki, a wieczorami uczestniczyliśmy w niekończących się bankietach i zabawach trwających do późnej nocy. Wspominam te wieczory do dziś, stały się one najlepszą formą nawiązywania koleżeńskich relacji ponad politycznymi podziałami. Obrady Światowego Kongresu Kronik Filmowych („Congreso Mundial De Prensa Filmada”) otworzył gość honorowy, „Señor Presidente de la República, Luis Echeverría Alvarez”, życzył owocnych obrad i zaprosił na bankiet z okazji Święta Niepodległości do Palacio Nacional.

Na przyjęciu u prezydenta napatrzyliśmy się na wytworny świat meksykańskich elit artystycznych, naukowych, przedstawicieli finansjery i biznesu. Wzrok mój przyciągały bez przerwy wytworne fryzury i toalety dam zgromadzonych w salach recepcyjnych pałacu prezydenckiego, swoboda, z jaką poruszały się wśród gości uśmiechnięte, beztraskie i szczęśliwe.

To właśnie w tym pałacu, wśród elity Meksyku, wystąpiłem w smokingu jeden jedyny raz w życiu. Koledzy z zachodniej Europy pewno tego nie zauważyli, przyjaciele z obozu socjalistycznego podobno komentowali ten fakt z przekąsem. Smoking moja żona, Renia, sprzedała w czasie stanu wojennego, gdy wyrzuciono nas oboje z pracy...

Pływające ogrody

Obrady kongresu przebiegały w dobrej atmosferze, a że dotyczyły spraw przeważnie zawodowych i technicznych oszczędzę czytelnikom ich opisu. Dla wszystkich uczestników kongresu bardziej interesującą stroną tego spotkania było zwiedzanie pięknego kraju. Zaczęliśmy od Xochimilco (czyt. Soczimiłko), gdzie znajdują się „The lovely „floating gardens” (bajeczne, pływające ogrody) czekały tu na nas łodzie przybrane kwiatami w narodowych barwach, z kwiatów też były zrobione napisy z nazwami kraju. Gospodarzom udało się nie pomylić flagi polskiej z indonezyjską, choć indonezyjska ma takie same kolory tylko odwrócone. Płynęliśmy łodziami przy dźwiękach ludowych melodii granych przez zespoły mariachies.

Po skończonym rejsie obejrzeliliśmy występy zespołów folklorystycznych, wśród przepięknych tancerek poznaliśmy naszą rodaczkę.

Do Xochimilco nie przyjechaliśmy autokarem, ale samochodem osobowym młodego aktora meksykańskiego, narzeczonego właśnie polskiej tancerki. Poznaliśmy go pierwszego dnia obrad. Przekonał nas, że z nim dojedziemy szybciej i Ryszard Gołc będzie miał więcej czasu na robienie zdjęć. Umówiliśmy się, że po występach wrócimy do domu jego rodziny, znajdującego się sto metrów od miejsca występów. Aby nie było wątpliwości, podwiózł nas pod sam dom, przedstawił rodzinie i piechotą udaliśmy się na brzeg, gdzie stały łodzie. Przywieźliśmy z sobą kilka butelek najlepszego wytworu polskiej myśli, daliśmy, więc w prezencie przemiłemu aktorowi butelkę żubrówki. Po imprezie późnym wieczorem wróciliśmy do domu rodziny aktora. Zastaliśmy wujka, ciocię i naszego cicerone, dosłownie ściętych z nóg po wypiciu pół litra polskiej żubrówki!

Świat jest jednak piękny i pełen niespodzianek. Następny wieczór spędziliśmy w eleganckiej restauracji hotelowej, w

której podejmował nas szef kinematografii Meksyku, pan Hiram Garcia Borja. Największe wrażenie zrobił na mnie taniec ognistej blondynki połączony ze strip-teasem, która okazała się... mężczyzną. Dużą niespodziankę sprawiło mi oczywiście zachowanie moich znakomitych kolegów z kronik wolnego świata, ich żon i przyjaciółek. Po zakończonym bankiecie, kiedy opuszczaliśmy salę, na stołach pozostały słodczyce, czekolady, papierosy, cygara. Eleganccy panowie i towarzyszące im wytworne damy zbierali to wszystko garściami i upychali w kieszeniach, a panie ładowały do torebek co się tylko dało! No coment.

Nie mogę nie wspomnieć o Teotihuacan i sławnych piramidach Słońca i Księżycy, które uczestnicy kongresu zwiedzili z przyjemnością i podziwem. Tego wieczoru przyjęcie utrzymane było w stylu historycznym: piliśmy tequile z soku agawy i pulque, napój alkoholowy, z soku rośliny, o nazwie maguey, uznawanej przez prekolumbijskich Indian Mezoameryki za świętą. Z jej soków wyrabiano właśnie pulque, napój oszałamiający, wprawiający w nastrój szczęśliwości i wywołujący kolorowe wizje.

W salach recepcyjnych hotelu „Aristos” podejmowano uczestników kongresu trzema rodzajami tego starożytnego trunku: białym jak mleko, gęstawym płynem o smaku gorzko słodkawym, pachnącym miodem i kokosem, zimnym i orzeźwiającym. Podawano go w glinianych czarkach. Zielona pulqua smakowała wprost nadzwyczajnie i mocno rozweselała. Pulqui różowej barmanki nie chciały nam podać, tłumaczyły, że po skończonym przyjęciu, jak będziemy wychodzić z lokalu dostaniemy po czarce, bo nie wolno jej pić w zamkniętym pomieszczeniu. Ale Rysiek (już po kilku tequilach) uparł się i jedną czarkę opróżnił przy stoliku, ja natomiast posłuchałem i dopiero, gdy opuszczaliśmy salę, w której odbywało się przyjęcie, wypilem pod gołym niebem. Rysiek żartował sobie ze mnie, że stchórzyłem i wychodząc wypił jeszcze jedną czarkę, ale też w pomieszczeniu. Tymczasem goście różową pulque pili dopiero po wyjściu z restauracji.

Jak działał napój różowy wypity w pomieszczeniu Ryszard przekonał się rano, gdy nie mógł wstać z łóżka, a głowa bolała go tak okropnie, że tego dnia nie wziął kamery do ręki, co zdarzyło mu się jeden, jedyny raz w życiu, tymczasem ja czułem się znakomicie, a sny miałem wprost niebiańskie!

W latach siedemdziesiątych, Acapulco było w szerokim świecie opromienione wielką sławą, nazywano je kurortem milionerów, cieszyliśmy się więc, że zobaczymy ten raj bogaczy na własne socjalistyczne oczy. Ze stolicy Meksyku wyjechaliśmy wcześniej rano autokarami, co pozwalało przybyszom z różnych części świata przyjrzeć się tamtejszym krajobrazom. W drodze do wytwornego kurortu zatrzymaliśmy się w Taxco, mieście położonym na malowniczej górze, pod którą kryły się bogate złoża srebra. Miasto słynie z wyrobów ze srebra, większość sklepów sprzedaje tu srebrne patery, kielichy i kieliszki, łańcuszki, kolczyki i różnego rodzaju wisiorzy w ogromnym wyborze. Nawet na obiedzie wydanym z okazji kongresu INA w kolonialnej rezydencji austriackiego księcia Maksymiliana Ferdynanda Józefa, którego Francja uczyniła monarchą Meksyku, (1864 –1867), potrawy posypano sprasowanymi pasemkami srebra. Mnie na tym uroczystym obiedzie najbardziej smakowały przepyszne pierożki. Postanowiłem więc dowiedzieć się, z jakich komponentów je przyrządzono. Zakradłem się do części kuchennej rezydencji i tu dowiedziałem się od szefa kuchni, że w środku pierożków znajdują się jajeczka mrówek meksykańskich z odpowiednimi przyprawami.

Późnym popołudniem dotarliśmy do Acapulco, gdzie wieczorem podejmował nas w hotelu Casablanka pan Israel Noguera Otero, gubernator stanu Guerrero. Koledzy meksykańscy, którzy doskonale zorganizowali pobyt uczestników kongresu, dali nam dzień wolny i każdy mógł spędzać czas według własnego uznania. Rano, zaraz po śniadaniu, z zapasowymi kasetami z taśmą filmową wybraliśmy się nad morze, gnani chęcią sfilmowania prawdziwych milionerów w otoczeniu pięknych dziewczyn, na sławnej plaży w Acapulco. Spotkało nas tu największe

rozczarowanie podczas całego pobytu w Meksyku. Dowiedzieliśmy się otóż, że milionerzy nie wychodzą na plażę dostępną dla zwykłych śmiertelników, mają, bowiem swoje plaże we własnych rezydencjach, dokąd prawdziwą wodę morską doprowadza się odpowiednimi rurami. Z jakiego są one kruszcu nietrudno odgadnąć.

Za to mogliśmy oglądać, a Golc sfilmował, mrozące krew w żyłach skoki chłopców z wysokiej skały do morza. Na tarasie widokowym, na wzgórzu La Quebrada, zbierają się co godzinę turyści, by po wykupieniu biletów, doświadczyć niezwykłych przeżyć. Na wysokiej skale usytuowanej naprzeciw tarasu, oddzielonej wąską szczeliną wzburzonej morskiej wody, zbierają się młodzi mężczyźni, aby skoczyć z wysokości około 40 metrów w dół! Skała ma taki kształt, że wydaje się, iż skaczący nie sięgnie wody, ale roztrzaska się o kamienisty brzeg.

Lot ze szczytu do wody, trwający zaledwie kilka sekund, sprawia wrażenie niesamowite, uczestnicy widowiska zaciskają dłonie, wstrzymują oddech, a kiedy skoczek zanurza się w wodzie z ust obserwujących bezwiednie wydobywa się okrzyk: oooh! Słyszało się w tym okrzyku ulgę i podziw. A kiedy młodzieniec wyłaniał się z morskiej głębinie na powierzchnię wody rozlegały się burzliwe oklaski.

Z Acapulco do stolicy Meksyku lecieliśmy samolotem. Wtedy dopiero zobaczyliśmy w rezydencjach milionerów setki basenów najprzeróżniejszych kształtów, w kolorach seledynowym, niebieskim, zielonym...

Do Warszawy powróciłem bogatszy o nowe doświadczenia i znajomości z kronikarzami z całego świata. Poznałem honorowego prezydenta i założyciela International Newsreel Association, pana Jean Jay, szefa kroniki realizowanej w Gaumont, pana Jean Pierre Leehardta redaktora naczelnego „Pathe-Magazine”, pana Marcela Hureta. W Republice Federalnej Niemiec w owym czasie ukazywały się trzy kroniki filmowe, zaraz po wojnie powstały one w trzech strefach okupacyjnych: amerykańskiej, angielskiej

i francuskiej. Na czele kroniki „Fox Toenende Wochenschau” w Monachium stał Hans Lipp. „Blick In Die Welt” we Frankfurcie nad Menem tworzył pan, Gerhard Holland, a „Deutsche Wochenschau” w Hamburgu redagował pan Klaus Lensch. Kroniki niemieckie zamieszczały najwięcej polskich materiałów, dlatego zależało mi na nawiązaniu bliskiej współpracy i osobistej znajomości. Z panem Wuste z „Der Augenzeuge” ukazującej się w Niemieckiej Republice Demokratycznej poznaliśmy się rok wcześniej na spotkaniu kronik państw socjalistycznych. Kongresy INA odbywały się co roku i były poświęcone sprawom zawodowym, bezdewizowej wymianie materiałów filmowych między kronikami i sprawom warsztatowym.

Na kongresach podejmowano decyzje o filmowaniu wielkich imprez sportowych: igrzysk olimpijskich, mistrzostw świata w różnych dyscyplinach sportu, a także festiwalu filmowych i imprez kulturalnych. Na kongresach INA powstawały tzw. „poole”, aby zmniejszyć koszty pozyskiwania materiałów. Im więcej kronik zapisywało się do „poolu” filmującego np. olimpiadę, tym taniej pozyskiwało się materiał. Najważniejszym momentem każdego kongresu były pokazy kronik filmowych. Przestano bowiem prezentować kroniki na festiwalach filmowych, więc projekcje kronik na kongresach INA stały się sprawdzianem sprawności i tematem żywych, koleżeńskich dyskusji. Nie przyznawano nagród ani dyplomów, ale wiadomo było, które kroniki uczestnicy kongresu oceniają najlepiej. Polska Kronika Filmowa utrzymywała się w ścisłej czołówce i niejednokrotnie w dyskusjach powoływano się na nasze wzory.

Z Meksyku do Kenii

W 1974 roku kongres INA odbywał się w stolicy Kenii, w Nairobi. Kroniki europejskie leciały jak zwykle z Paryża, bo w ten sposób płaciliśmy mniej za bilety lotnicze. W drugim dniu obrad kongresu koledzy z Francji, ku mojemu zaskoczeniu, zgłosili moją kandydaturę na wiceprezydenta INA, a kongres wybrał mnie jednogłośnie. Do tej pory do władz tej organizacji

wybijano tylko osoby z kronik zachodnich, byłem więc pierwszym przedstawicielem z obozu socjalistycznego, któremu powierzono funkcję w centralnych władzach International Newsreel Association. To był wyraźny zwrot w dotychczasowej polityce INA. Wybrano osobę z Polski, bowiem Polska Kronika Filmowa spośród wszystkich kronik socjalistycznych była najbardziej zbliżona swoją formułą do kronik zachodnich i zdecydowanie najwięcej w swoich wydaniach zamieszczała tematów zza „żelaznej kurtyny.”

Już po wyborze sekretarz generalny INA podzielił się ze mną swoim marzeniem, pragnął mianowicie, podobnie jak wielu kolegów z kronik państw zachodnich, aby jeden z kongresów zorganizować w Moskwie. Miał nadzieję, że mu pomogę w realizacji tego dążenia i stanę się w jakimś stopniu współorganizatorem tych zamiarów. Z Warszawy wszak bliżej do Moskwy niż z Paryża. Kilka razy wyjeżdżałem w tej sprawie do Moskwy. Przywoziłem do Paryża pomyślnie wieści: koledzy radzieccy byli przychylni tej idei, ale żeby zorganizować kongres, musieli pokonać – niezrozumiałe dla ludzi Zachodu – bariery biurokracji. Rozmowy i przygotowania trwały równo pięć lat, na przełomie maja i czerwca 1979 roku kronikarze z całego świata spotkali się w Moskwie! Marzenie Colin-Reval'a wreszcie się spełniło.

O spotkaniu w Moskwie napiszę nieco później. Kongres INA w Kenii po długiej dyskusji upoważnił władze wykonawcze do utworzenia „poolu”, który miał w 1976 roku zająć się filmowaniem olimpiady w Montrealu.

Moim wyborem do władz INA przejął się bardzo ambasador Polski Ludowej w Kenii, wydał nawet z tej okazji „dinner”, na który zaprosił władze INA, z honorowym prezydentem Jean Jay na czele. Ponieważ władze INA uwielbiały wszelkiego rodzaju rauty i biesiady, gest ambasadora PRL przyjęty z uznaniem.

Na spotkaniu tylko w polskim gronie ambasador, Zdzisław Lesiak, uraczył nas dwoma opowieściami. Opowieść pierwsza. Jak

przystało na przedstawiciela drugiego co do wielkości socjalistycznego państwa w Europie, ambasador mieszkał w rezydencji i zatrudniał ogrodnika, który utrzymywał park i ogród otaczający siedzibę dyplomaty na wysokim poziomie. „Z pracy ogrodnika – opowiadał gospodarz rezydencji byłem bardzo zadowolony. – Wyróżniał się on rzadko spotykaną sumiennością i znajomością sztuki ogrodniczej. Mówię sztuki – dodawał dyplomata – bo ogrodnik wyhodował tak piękne kwiaty, że mi ich zazdrościli przedstawiciele dwóch najważniejszych mocarstw. Mój ogrodnik nigdy nie spóźniał się do pracy, pragnę to w tym miejscu szczególnie podkreślić” – dodawał ambasador. „Ale oto pewnego dnia nie pojawił się w ogrodzie. Kiedy nie przyszedł i dnia następnego, zacząłem się niepokoić, a trzeciego dnia poleciłem, aby sprawdzono czy nie jest chory? Na szczęście pojawił się dnia czwartego, wtedy spadł mi kamień z serca. Zapytałem go jednak, dlaczego był nieobecny? Odpowiedział mi najspokojniej w świecie, że spotkał przyjaciela, którego nie widział bardzo długo i przez trzy dni dzielili się opowieściami ze swoich przeżyć. Ogródnik kilkudniową absencję uznał za rzecz naturalną. A kiedy zorientował się, że chlebodawca ma kłopoty ze zrozumieniem jego zachowania, zapytał wprost: a pan przyszedłby do pracy, gdyby spotkał przyjaciela po kilku latach rozłąki?” „W Polsce praca jest najważniejsza”. „Proszę o wybaczenie, ale muszę to powiedzieć, żyje pan w jakimś dziwnym kraju” – podsumował rozmowę ogrodnik.

Opowieść druga. „Miłość jak wiadomo nie uznaje żadnych barier: narodowościowych, politycznych, religijnych i geograficznych. I dlatego jest najpiękniejszym ze wszystkich uczuć ludzkich. Pewna mieszkanka Łodzi, która poznała Kenijczyka z plemienia Kikuju, kończącego właśnie w Polsce medycynę, zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, a on odwzajemnił jej uczucia z równie wielką siłą. A jak wiadomo prawdziwa miłość nie uznaje żadnych barier, więc ona dała mu serce i nie tylko serce, wzięli ślub i wyjechali do słonecznej Kenii. I tu urodziło się piękne dzieciątko, które zostało ochrzczone według miejscowych

zwyczajów: szaman odtańczył taniec radości, a członkowie plemienia przyjście na świat maleństwa świętowali przez kilka dni. W czasie tych uroczystości okazało się, że w cieniu Kilimandżaro żyły dwie prawowite żony doktora, które swoją obecnością na chrzcinach podzielały radość męża z przyjścia na świat potomka płci męskiej. Nasza rodaczka nie mogła się z tym jednak pogodzić i postanowiła wrócić do Polski. Była na tyle przezorna, że zachowała bilet powrotny, więc ambasada okazała jej bezinteresowną pomoc i ułatwiła odlot do ojczyzny. Po pewnym czasie napisała, do naszej placówki w Nairobi, że prosi o pomoc w uzyskaniu alimentów. Ambasada zwróciła się z tą sprawą do kenijskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Kenijczycy poprosili ambasadę o sprecyzowanie o co chodzi, albowiem po raz pierwszy w historii niepodległej Kenii inne państwo zwróciło się do nich z żądaniem alimentów. Polska ambasada opisała całą sprawę bardzo dokładnie i precyzyjnie sformułowała żądania. Upłynęło sporo czasu nim nadeszła kenijska odpowiedź. Kenijczycy napisali, że w ich prawie nie ma pojęcia alimentów, ponieważ dziecko przychodzące na świat należy do plemienia i plemię je wychowuje w razie utraty rodziców. Starszyzna plemienia Kikuju zaś odpowiedziała ministerstwu w Nairobi, że jest zdziwiona postawą Polki, którą plemię przyjęło z radością i przez cały czas jej pobytu okazywało jej życzliwość. Zdaniem starszyzny, to Polka powinna zapłacić odszkodowanie, bo ukradła dziecko, należące do plemienia!”

Warszawa, Soviet Union

Z pobytu w Kenii zapamiętałem jeszcze dwa zdarzenia. Kenijscy koledzy przygotowali kongres INA doskonale. Pokazali nam śniegi Kilimandżaro, jezioro Nakuru z różowymi wyspami flamingów, zorganizowali spotkanie z prawdziwym szamanem, przemiłym panem w regionalnym stroju z pomalowaną twarzą w afrykańskie wzory. Szaman okazał się człowiekiem oświeconym, pełniącym w wiosce i okolicy rolę kapłana, nauczyciela i lekarza. W swojej pracy wykorzystywał tradycyjne formy

kontakty z ludźmi trwające tu od niepamiętnych czasów. Z czarownikami opisywanymi w literaturze nie miał nic wspólnego.

W rezerwacie Amboseli mieszkaliśmy w najdroższym hotelu w Kenii – w namiotach wyposażonych w bieżącą wodę, prysznic, światło elektryczne i klimatyzację. Największą atrakcją były tu małpy, które po wschodzie słońca buszowały po dachu namiotu z takim zapałem, iż wydawało się, że szaleje burza, albo trwa bombardowanie. Tu z bardzo bliska z mikrobusów oglądaliśmy lwy i słonie, oczywiście przez otwory w dachu, okien nie mogliśmy otwierać od czasu, kiedy zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Niemiecka turystka odkręciła szybę i wychyliła się przez okno mikrobusu, chcąc zrobić zdjęcie, lew zaatakował błyskawicznie, wyciągnął ją i zabił. Obejrzeliśmy też taniec Masajów – myśliwych wyruszających w busz z dzidami, by upolować lwa.

Z krainy Masajów wracaliśmy do stolicy tuż przed wieczorem. Kierowca mikrobusu, obok którego siedziałem, pędził jak szalony. Zapytałem go, dlaczego tak się śpieszy? Odpowiedział, że za chwilę zapadnie noc (w Afryce noc zapada bardzo szybko, raptownie) a on boi się, aby jakieś plemię na nas nie napadło. Przyjąłem wyjaśnienie i uśmiechnąłem się do sympatycznego kierowcy. Po chwili zapytał: „A ty się nie boisz? – Nie – Skąd pochodzisz? – From Poland – From Holland? – No, from Poland”. Na to mój rozmówca: teraz mi wyjaśniłeś i już wiem, dlaczego jesteś odważny. Skoro macie taką wspaniałą drużynę piłki nożnej, to jasne, że się nie boisz!

W drodze do Mombasy sekretarz ambasady pomylił drogi i pobłądził. Powrót na właściwą trasę okazał się trudniejszy niż można się było spodziewać. Kiedy zaczął się denerwować, na rowie pojawiła się iskierka nadziei. Dostrzegł półnagiego człowieka rzeźbiącego w drewnie jakąś postać. Zatrzymał samochód i zapytał o drogę. Rozmowa trwała jakąś chwilę, sekretarz przysłuchiwał się uważnie wypowiedzi Kenijczyka i po chwili zapytał: „Gdzie nauczyłeś się tak pięknie mówić po angielsku? – W Oxfordzie. – To, co robisz na tym rowie? – Rzeźbię postać ciężarnej kobiety, gdy ją ukończę pobiegnę do

przyjaciela i dam mu ją w prezencie, co sprawi mu wielką radość, bo właśnie kilka dni temu wziął sobie żonę. – To po to kończyłeś Oxford? – Studiowałem, bo interesowała mnie europejska cywilizacja, a gdy ją poznałem wróciłem do siebie, wasza cywilizacja zniszczyła bowiem radość życia”.

I na zakończenie. W czasie pobytu w Kenii poznałem, Pianinę, nauczycielkę pracującą w ministerstwie kultury. Urzekła mnie jej uroda, a przede wszystkim fryzura składająca się z kilkudziesięciu splecionych cienkich antenek z kruczoczarnych włosów. Wysłałem jej z Polski kilka pocztówek. Na Nowy Rok otrzymałem życzenia: „Mr. Mirosław Chrzanowski, Polska Kronika Filmowa, Warszawa, Soviet Union.

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródła: Trybuna.info, Pekaefczyk.com